OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 12/24 Czerwca 1868 roku.

Nr 25. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok IV.

TREŚĆ. Ś-ty Jan Chrzciciel (z drzeworytem) — Wianki, poezja przez *Fr. Gumowskiego*. — Na gorącym uczynku, kartka z kroniki kryminalnej, przez *Wołodego Skibę* (ciąg dalszy).— Czarodziejska dolina, podług wiarogodnych źródeł, opowiedział *Mścisław Kamiński*, (ciąg dalszy). — Przemysł zwierząt w budowaniu gniazd i mieszkań (z drzeworytem, ciąg dalszy.)— Rozmaitości.—Podsłuchane gdzie się zdarzy.

ŚWIĘTY Jan Chrzciciel.

Dzień 24 Czerwca poświęcony jest pamięci Ś. Jana Chrzciciela. Mąż ten, podług słów Biblji, był synem Zacharjasza i podeszłéj już w lata Elżbiety. Pewnego razu kiedy Zacharjasz przed ółtarzem sprawował ofiarę, ukazał mu się Anioł Pański i obiecał że żona jego, choć bezpłodna i stara, powije mu syna. A gdy się zdziwił tą obietnicą, za karę chwilowego niedowiarstwa na czas pewien oślepł, i zdumionemu ludowi opowiadał nadzwyczajne owo poselstwo i sprawę jaką miał z Aniołem. Rzeczywiście Elżbieta po pewnym przeciągu czasu powiła dziecię, któremu dano imię Jan. Niemowlę przy tak nadzwyczajnych okolicznościach przepowiedziane przez posła bożego, naznaczone ręką Pańską, rosło z promienną gwiazdą posłannictwa, gotując się do jakiejś nader ważnej sprawy. Wistocie miał on przygotowywać ludzkość do przyjścia Mesyjasza.



Święty Jan Chrzciciel na puszczy.

Tak jak różany obłok który w poranku dnia poprzedza blask słonecznej tarczy, jak huk podziemny który zapowiada trzęsienie ziemi, tak samo nim zadrżał i wstrząsnął się świat pod słowem nowego Mistrza, nim zabłysło słońce nauki Chrystusa, ukazał się wprzód Je-

go, że tak powiem, goniec—Jego prorok—Jan. A że w każdem wielkiem, a szczególnie w duchowem dziele, chcąc je urzeczywistnić, potrzeba namysłu, potrzeba jest ogromnego skupienia sił, oderwania się prawie od wszelkich roztargnień, od gwaru i ludzi, —więc też i Jan Ś. udał się na puszczą, a przepasawszy biodra skórą zwierzęcia i żywiąc się tylko korzonkami i miodem leśnym, przysposobiony, przekonany i natchniony, począł opowiadać wszystkim o mającym wystąpić niedługo na widownię świata Mesyjaszu, wzywając każdego do pokuty, poprawy życia i do szczerego przyjęcia Tego Boskiego refomatora ludzkości. A kiedy według słów jego, odezwał się w końcu Ten oczekiwany od narodów Odkupiciel, Jan Ś. miał tyle szczęścia że ochrzcił Go, na przykład innym, w rzece Jordanie, i z tej przyczyny Janem Chrzcicielem (Baptista) został nazwany.

WIANKI.

O siostry moje, niebios posłanki,
Toć tajemnicza nadeszła noc....
Więc w drobnych rączkach splatając wianki,
Swoję wszechwładną tchnijcie w nie moc.
Najprzód je skąpcie w czystym krysztale
Naszych błękitnych jak wstęgi wód;
Bo i te rzeki, bo i te fale
Dadzą im także piękności cud.
Potém je zwilżcie w nurtach Wiślanych,
Kędy rusałek wznosi się tron,
I do serc waszych, do serc kochanych,
Co w lubych dźwięków biją nam dzwon,
Przybliżcie żwawo—by z zimnej rosy
Obeschły niby pod słońcem kwiat,
I przyozdóbcie je w swoje kosy,
By nieśmiertelnych nabyły szat.
Dopiéro takie, takie wawrzyny,
Mające w sobie wieczności woń,
Niechaj wkładają wasze rączyny,
Na zasługami promienną skroń.
Toż przedewszystkiem wieńczcie te głowy,
Co nam wskazały jak mamy żyć;
Ach, takim wianek — wianek różowy,
Macie ze łzami wdzięczności wić.
Potém go kładźcie na owe czoła,
Co je świętością naznaczył Bóg,
Co wszędzie nakształt Stróża-Anioła,
Pilnują cnoty i prawdy dróg,
Potém girlandą z dębów zielonych,
Wieńczcie zbielały od trudu włos
Tych, co na skibach pól użyznionych,
Strzegą by zakwitł pszeniczny kłos.
Potém wplatajcie listki i kwiaty,
W jeden zgodnego uznania zwój,
Dla tych co niosą do każdej chaty,
Poczciwej pracy ożywczy zdrój.
I dla śpiewaka i dla pieśniarza,
Co go natchniony unosi lot,
Co swą piosenką serca rozżarza,
Uwijcie także choć jeden splot.
O, bo z rąk waszych brać cześci wieniec,
W oczach zobaczyć wdzięczności żar,
W licach zapału wzbudzić rumieniec —
To najpiękniejszy na świecie dar.

Franciszek Gumowski.

NA GORĄCYM UCZYNKU.

Kartka z kroniki kryminalnej.

(Ciąg dalszy.—patrz N. 25-ty).

Pan Fiksz się zakłopotał i zaczął na serjo podzielać wątpliwości pana Sotera.

Dziwnem to się może komu wydawać, że ludzie tak skrupulatnego sumienia, jak pan Soter i pan Antoni, w owym przecież zakładzie, który powieść naszą rozpoczął, niekóniecznie bardzo sumiennie z sobą postępowali, i choć się umówili, że iść będą zwyczajnym krokiem, obaj szli jak umieli najprędzej. Nie ma w tem jednak nic nienaturalnego. Ludzie nie są doskonałemi i najsumienniejsi nawet mają swe błędy, lub spaczone wyobrażenia. Jesteśmy pewni, że w głębi swych przekonań obaj pośpiech swój w tych wyścigach uważali za podstęp niewinny, za figla, i potrzebaby bardzo nadużyć logiki, żeby z tego wnioskować, że już z tego powodu nie byli zdolni do głębokiego przejęcia się uczuciem sprawiedliwości, w rzeczy, w której już nie o kilka kufelków piwa, ale o przyszłość człowieka chodziło.

Kiedy się dowiedzieli, że Opędzki miał być już uwolnionym i tylko nowa poszlaka spowodowała dalsze uwięzienie i prowadzenie sprawy, spadł im jak gdyby kamień z serca.

— Teraz już nikt nie powie, że my zgubiliśmy tego biedaka, —rzekł pan Antoni; — sąd znalazł całkiem inne na niego dowody.

— To prawda,—odpowiedział pan Soter;—i tego cośmy zeznawali nie możemy sobie mieć do zarzucenia, bo już ani chybi że to on zabił.

— I ktoby się to spodziewał!...taki młody człowiek, a takiej ładnej familji, miał się tak bogato ożenić!...

— Ha! jak sobie posłał, tak się wyśpi.

— Mnie jednak zawsze go żal...

— No, i mnie żal, ale cóż my na to poradzim. Do nas nie może mieć pretensji.

Jakkolwiek uspokojeni nie przestali jednakże interesować się wypadkiem. Nie pominęli żadnej sposobności poinformowania się jak stoi sprawa, a gdy nadszedł dzień sądu, pierwsi przyszli na posiedzenie.

Zdawało im się, że znaki na pieniądzach stanowiły wszystko, i że o ich zeznaniach mowy nawet nie będzie, chyba dla formy. W tym względzie jednak omylili się zupełnie.

Prokurator nie pominął bynajmniej ich świadectwa, rozbierał je szczegółowo, i z każdego ich wyrazu wyprowadzał szeroko dowód winy. Podniósł je do takiej ważności, iż panowie Fiksz i Kukuli ze zdumieniem spostrzegli, że samego ich zeznania dosyć było, ażeby obwinionego potępić.

Adwokat bardziej jeszcze ich zakłopotał. Niepoddając w wątpliwość ich intencji mówienia prawdy, wywodził jednak, że ich świadectwa nie są wolne od pewnego uprzedzenia na niekorzyść obwinionego, że są raczej świadectwami ludzi, którzy sobie wytłumaczyli, że oskarżony jest zabójcą, niż bezstronnych; dziwił się dalej świadkom, że mogli stanowczo, pod przysięgą, zeznawać co widzieli i to zeznawać tak kategorycznie, kiedy właśnie powracając z bawarji, na której dość obficie się raczyli, mogli się znajdować w tem różowem usposobieniu, które choć nie jest jeszcze odurzeniem, jednak za trzeźwość wzięte być nie może, i każe widzieć rzeczy inaczej jak się działy, zwłaszcza gdy się działy pociemku.

Obrona tym wywodem ubodła ich do żywego. Zakwestjonowaną została ich zdolność do świadczenia bezstronnie, zarzucono im pewien udział uprzedzedzenia i złej woli. Głos obrońcy dźwięczał im w uszach tak jak gdyby oskarżony wołał do nich ze swej ławy:

— Wyście mnie zgubili.

Wchodząc w głąb' siebie nie mogli nie przyznać trafności uwagi obrońcy co do tego, że mogli być trochę podochoceni bawarem. Jużciż inaczej nie byliby się zakładali po nocy, którędy bliżej do domu.

— Widocznie piwo w głowie nam czmérało, — myślał jeden i drugi,—i zgubiliśmy człowieka.

Tracąc wiarę w słuszność swojego zeznania, coraz mocniej wierzyć musieli, że oskarżony jest niewinnym, a gdy adwokat przyszedł do wniosku, że na oskarżonym ciąży tylko jedna rzeczywista i zasługująca na uwagę poszlaka, to jest: znaki na pieniądzach gdy przytoczył prawo stanowiące: że na zasadzie jednej tylko poszlaki skazanym być nie może, gdyż nie ma wskazówek, ażeby był zdolnym do zbrodni, zrozumieli, że jeżeli sąd nie pójdzie za zdaniem obrony, i przyjmie także ich zeznania za podstawę wyroku, w takim razie oni tylko będą głównym i najważniejszym powodem potępienia obżałowanego.

Potém miał miejsce znany już czytelnikom wypadek. Bolesny, z duszy wydarty krzyk obwinionego, że tej zbrodni nie winien, lubo winien innej, z którą prawo ludzkie nic wspólnego nie ma, zabrzmiał w ich uszach jak wyrzut sumienia. Przemówienie adwokata dokonało reszty.

Pan Soter rozpłakał się jak dziecko, i pan Antoni musiał wyprowadzić go z sali, po czem natychmiast dorożką odjechali do domu. To było przyczyną, że nie słyszeli odpowiedzi prokuratora, któraby może była zachwiała ich silnie teraz ugruntowanem przekonaniem o niewinności Opędzkiego.

Poczciwy właściciel domu na Tamce kilkodniową chorobą przypłacił doznane wzruszenia. Pan Fiksz byłby się także pewno rozchorował, gdyby nie to, że musiał pielęgnować przyjaciela, co go rozrywało cokolwiek i nie pozwalało oddawać się przykrym i dręczącym myślom.

Po nocach obu śnił się Opędzki w białej szacie niewinności, skuty w kajdany na rękach i na nogach, wstrząsający okowami i spoglądający na nich z boleścią i wyrzutem.

IX.

Jak tylko pan Kukuli przyszedł cokolwiek do siebie i pan Antoni został wolnym od administrowania mu baniek i puszczania krwi, pierwszem obu zadaniem było dowiedzieć się o zapadłym wyroku.

Wieść im szybko przyniosła wiadomość o skazaniu, od którego złożony ciężką chorobą Opędzki apelować nie chciał, przyjmując go jako karę za inne swoje przewinienia.

Nie poprzestali na ogółowej wiadomości, zapragnęli kopji aktu potępiającego, i otrzymali ją niedługo.

Jeżeli sama wiadomość o skazaniu Opędzkiego przejęła ich boleśnie, nierównie boleśniej dotknęły obu motywa zapadłego wyroku.

W motywach tych sąd, pomijając wszelkie rozumowania i wywody logiczne, ograniczył się do samej przedmiotowej strony sprawy. Nie rozstrzygając, czy przeszłość Opędzkiego dawała prawo do uważania go za zdolnego do popełnienia zarzucanej zbrodni, wyrok opierał się na faktach, a więc głównie i oniemal wyłącznie na zeznaniach dwóch pryncypalnych świadków i na znakach, jakie się okazały na złocie.

— Jednem słowem,—rzekł pan Soter przeczytawszy,—sąd jakby wyraźnie powiada, że go skazuje dla tego że go Kukuli i Fiksz oskarżyli, a jabym dał dziś szyję, że on tego człowieka nie zabił.

— I ja dałbym szyję, że nie on zabił,—przyświadczył pan Antoni,—zawsze jednak tutaj nie stoi, że my go potępiliśmy. Gdyby nie znaki na pieniądzach, byłby wolny.

— A nie pamiętacie, panie Antoni, co adwokat mówił, że znaki na pieniądzach bez naszego świadectwa nie znaczą nic.

— Zawsze jednak mówiliśmy cośmy widzieli,— pocieszał pan Antoni, choć sam potrzebował pociechy, bo przekonania swego przyjaciela jak najzupełniej podzielał.

— Piękniesmy widzieli!...czmérało nam w głowie a noc była ciemna, choć oczy wykól.

— Eh! przecież pijani nie byliśmy.

— Albo to człowiek wie kiedy pijanym być zaczyna?...Adwokat dobrze powiedział, żeśmy mogli gadać w najlepszej intencji i w przekonaniu żeśmy najzupełniejszą prawdę mówili, a jednak mówić nie tak jak było.

— No to i tak nie powinniśmy się kłopotać, kiedyśmy złej intencji nie mieli.

— Mój panie Antoni, —odrzekł na to pan Soter, —nie tłumaczcie, bo to napróżno. Gdybyście tak bez żadnej złej intencji, przypadkiem, goląc kogo przecięli mu arterją, i gdyby z tego umarł, tobyście sobie nie darowali pewno przez całe życie swej niezgrabności.

Pan Fiksz nie miał co odpowiedzieć.

— A wszystkiego tego, — zaczął znów pan Kukuli,—narobiło to przeklęte piwsko. Ot, wiecie co, uczyńmy ślub, że go do ust nie weźmiemy, aż tego niewinnego wypuszczą.

— A jak go nie wypuszczą przez całe życie?

— To przez całe życie pić nie będziemy, zgoda?...

— Ba! a jak się okaże, że winny naprawdę, i że to on zabił.

Pan Soter się zamyślił. Zrazu chciał powiedzieć, że i w takim razie pić nie powinni trunku, który choć nie upaja ale mąci w głowie i do takich plącze kłopotów. Ale żal mu się zrobiło piwka.

— No, to w takim razie wolni będziem od ślubu, —odpowiedział,— przystajecie, panie Antoni?...

— Jużci przystałbym, z ochotą nawet...tylko widzicie, panie Soterze... mam jeszcze parę butelek w domu...szkoda zmarnować.

— A to przynieście, wypijemy je zaraz, a potém uczynimy ślub,—odrzekł pan Kukuli.

— A nie zaszkodzi wam po tej chorobie, panie Soterze?...

— I! co ma szkodzić, dajcie tylko.

Pan Antoni przyniósł butelki, piwko musujące smakowało im tym bardziej, że ze smutkiem myśleli o tem, iż je może po raz ostatni piją.

— Zdradziecki trunek, ale smakowity,—rzekł delektując się pan Soter,—doprawdy trudno się będzie odzwyczaić.

— I ja myślę, że cokolwiek przytrudno,—odpowiedział starszy felczer.

— O! o! widzę,—uśmiechnął się pan Soter, —nie

macie wielkiej ochoty ślubować, ale słówko się rzekło.....

— No, jeszcze się nie rzekło,—przerwał pan Fiksz, — dopiero jak wypijem ślubować mamy. Ale macie rację, że trudno będzie, i przytem...

— Cóż przytem?...

— Zdaje mi się, że to temu nieszczęśliwemu nic nie pomoże że my piwa pić nie będziemy, —zauważył pan Antoni.

— Powiedziano jest,—zacytował pan Soter,—że jeśli cię oko wodzi na pokuszenie, wyłup je, jeśli cię piwo prowadzi na Topiel, nie pij piwa.

— Ale ja do czego innego prowadzę, — odrzekł pan Antoni,—zamiast ślubować, że piwa pić nie będziem, moglibyśmy postanowić sobie coś takiego, co się temu biedakowi na coś przyda.

— Cóż naprzykład?... — nie obstając bardzo za ślubem wstrzemięźliwości spytał pan Soter,—już ja nad tem myślałem...gdyby miał żonę i dzieci w niedostatku, tobym się niemi opiekował, i pomagałbym im ile możności...ale...

— Ale i tak coś zrobić można, ot naprzykład starajmy się go uwolnić?

— Jakto? odbić z więzienia? ułatwić ucieczkę?....

— Ale gdzież znowu!...o tem nawet myśleć się nie godzi.

— Więc w jaki sposób?...

— Ot, po prostu, starajmy się zebrać dowody jego niewinności.

Pan Soter podumał chwilę.

— Łatwo to gadać,—odrzekł,—ale jak się do tego wziąć?...

— Będziem myśleli i wymyślimy sposób.

— Tak, będziemy myśleli dzień lub dwa, a potem zapomnimy i po wszystkiem. Niby to człowiek ma mało swoich zaprzątnień i kłopotów! Ot, gdybyśmy uczynil ślub, że nie będziem pić piwa, póki nie znajdziemy dowodów jego niewinności, toby przynajmniej była podnieta do myślenia...

— Eh! nie,—odparł pan Fiksz,—już ja doświadczyłem na sobie, że jak nie wypiję szklaneczki lub kufelka, tom jakiś głupi, i nic do rzeczy wymyślić nie mogę.

— Co prawda to nie grzech, — potwierdził pan Soter,—i ja uważałem, żem po jednym i drugim kufelku jakoś do myślenia raźniejszy.

— Ztąd wypada, że jakbyśmy przestali pić, tobyśmy nic mądrego żeby mu pomódz nie wymyślili.

— A! więc pijmy jak piliśmy, ale pijąc myśléć będziemy, jakby go wybawić z nieszczęścia.

Stanęło na tem

Biedna, słaba, poczciwa naturo ludzka! Oto dwaj ludzie, którzy stawiają sobie zadanie trudne, przechodzące może ich siły, ażeby tylko znaleźć dla samych siebie pozór usprawiedliwienia że się nie wyrzekają drobnej przyjemnostki, nabytego z biegiem czasu, a przez nich samych za szkodliwy uznawanego nałogu. *(Dalszy ciąg nastąpi.)*

CZARODZIEJSKA DOLINA.

(Dokończenie, patrz Nr. 25-ty).

Nic innego mi nie pozostawało, jak pozostawiwszy Witolda na drzewie, przeskoczyć przez dym i pobiegłszy naprzeciw Bolesia i Pawła, ostrzedz ich wprzódy aniżeli pekari zdołają ich zwietrzyć. Na szczęście głos ich dochodził z téj właśnie strony którą dym zasłaniał, co dawało mi jakąś otuchę, że przebiegnę tę przestrzeń niepostrzeżony. Oddałem tedy karabin Witoldowi, wydobyłem nóż i zeskoczyłem z drzewa. Nie ubiegłem i stu kroków gdym ujrzał psy, a zaraz potem Bolesia i Pawła. Ale obróciwszy się w tył, ujrzałem całe stado pekari za mną pędzące. Zaledwiem miał czas zawołać na Bolesia i Pawła aby się wdrapali na drzewa, w chwili gdym wskakiwał na gałąź, pekari zrównały się ze mną. Toż samo zrobił Boleś ze swoim towarzyszem. Psy zaś rzuciły się na pekari, ale okropne kły tych zwierząt znagliły Kastora i Polluxa do ucieczki ku drzewom, na którem się Boleś i Paweł ukryli. Szczęściem były na tem drzewie bardzo niskie gałęzie, na które pomógł im wdrapać się Paweł; w przeciwnym razie biedne psy doznałyby losu kuguara, bo pekari wściekle za niemi goniły i otoczyły drzewo do koła.

Tu dopiero zaczęła się zupełna porażka naszych napastników: Boleś strzelał do nich jak do celu, a Paweł kłuł niemiłosiernie swoją piką. Walka trwała kilka tylko minut, a pozostałe pekari, z których ani jednego prawie niebyło nieokaleczonego, poczęły się wreszcie trwożyć naprawdę i odstąpiwszy od drzewa uciekły co żywo do lasu. Zeskoczyliśmy więc z drzew, i niezwlekając dłużéj ani chwili, wróciliśmy do domu, gdzie niespokojna oczekiwała na nas Anna.

Odtąd lubo niejednokrotnie spotykaliśmy te zwierzęta, a nawet udało się nam pochwycić kilka ich młodych, przecież nie tylko nas nie napadały, ale uciekały z daleka. Mają bowiem one taką własność, że walczą dopóty, aż się ich nie pokona, po czem unikają wszelkiemi siłami swojego zwycięzcy. Prócz tego, zdaje się że stado któregośmy znaczną część wyniszczyli, było jedyne w całéj dolinie, bo te cośmy spotykali były bojaźliwe i nieliczne.

W ciągu tego roku mieliśmy podwójny zbiór zboża, a że się nieźle obrodziło, z tego wziąść można miarę, że drugiego zbioru przywieźliśmy do stodoły którąśmy także wybudowali, piętnaście wozow, więc tyle ile potrzeba było dla nas i dla zwierząt naszych na cały rok.

Następny rok upłynął tak samo prawie jak pierwszy: na wiosnę zebraliśmy wielką ilość cukru i posieliśmy niemało zboża. Do zbioru naszych zwierząt przybyło kilka gatunków danieli i antylop; z innych zwierząt złowiliśmy między innemi wilczycę z kilkorgiem wilcząt. Tę jednak musieliśmy zabić dla dzikości, ale szczenięta zachowaliśmy i przyswoiliśmy tak dalece, że słuchają nas jak psy i żyją z niemi w najlepszéj komitywie.

Z przygód jakie nas w ciągu roku spotkały, nie od rzeczy będzie opowiedzieć o jednéj, ile że z wielkiemi niebezpieczeństwy była połączona. Jednego pięknego zimowego dnia, gdy jezioro całe mocnym lodem się ścięło, synowie moi poszli ślizgać się na łyżwach po jego powierzchni: my zaś wszyscy pozostaliśmy w domu, zajęci jakąś pracą ręczną. Od czasu do czasu dolatywały do nas wesołe okrzyki chłopaków, gdy w tym rozległ się krzyk trwogi, zwiastujący jakieś grożące niebezpieczeństwo.

— Henryku, zawołała moja żona, pewnie lód się załamał!

Rzuciliśmy na ziemię to cośmy w ręku trzymali i wybiegliśmy bezprzytomni przezedrzwi. Ja chwyciłem jakiś powróz, Paweł porwał swą pikę, nie

wiedząc prawie co czyni. W mgnieniu oka byliśmy już nad brzegiem jeziora.

Witold i Bolesław spieszyli ku nam z przeciwnej strony jeziora pędząc z całych sił na swoich łyżwach, a tuż za nimi leciało stado zgłodniałych wilków! Nie były to jednak wilki łąkowe, które i przed dzieckiem uciekają, ale wielkie wilki czarne z gór Skalistych. Było ich sześciu: długie ich ciała wychudzone głodem, najeżona sierć na grzbiecie, nadawały im postać okropną. Uszy miały wywrócone, a z ziejącej paszczy zwieszał się język zakrwawiony i dawały się widzieć ostre i białe zęby.

Nie zatrzymując się ani chwili i biegąc na brzeg jeziora, rzuciłem powróz, a pochwyciłem jakiś kawał drzewa, gdy tymczasem Paweł biegł naprzód ze swoją piką. Anna miała tyle przytomności umysłu, że wróciła do domu po karabin.

Bolesław znajdował się najbliżej, a wilki tuż, tuż biegły za Witoldem, co nas wielce dziwiło, ile, że ten ostatni lepiej się ślizgał od brata. Wołaliśmy na niego z całych sił aby dodać mu odwagi. Wilki tymczasem coraz więcej się zbliżały.

— O nieba! zawołałem, rozszarpią go pewnie!

Co chwila obawiałem się aby nie upadł na lód. Któż opisze mą radość, gdym go ujrzał jak nagle się zwrócił pod kątem prostym i wydając okrzyk tryumfu przemknął na bok jak strzała. Wilki, od których tak zręcznie umknął, nie przestawały pędzić za Bolesiem, i na serjo poczynaliśmy się obawiać o niego. Już go prawie chwytały, gdy naśladując brata, zwrócił nagle w stronę, a wilki nie mogąc się powstrzymać w biegu, znaczną przestrzeń ubiegły, zanim zdołały się zatrzymać. Opamiętały się jednak prędko i znowu za Bolesławem puściły się w pogoń, gdy Witold, który był już daleko od nich się odsadził, zabiegł im z tyłu, usiłując krzykiem swym przywabić ich ku sobie. A gdy wilki nie zdawały się nań zważać, puścił się prosto ku nim, jakby chcąc się przemknąć przez sam środek ich stada, i już niemal ich dosięgał, gdy Boleś nowym zwrotem zmylił ich z tropu. Witold tymczasem zawołał na Bolesława aby uciekał na brzeg, a sam, wiodąc za sobą całe stado, jak błyskawica przelatywał po lodzie, usiłując ku nam się zbliżyć.

Niedaleko brzegu znajdowała się w lodzie wielka przerębel, ku której zbliżał się w linji prostej. Sądząc, że zajęty wilkami, całkiem o owym otworze zapomniał, wołaliśmy nań ostrzegając go o tem. Ale on utworzył sobie swój plan i gdy zaledwie o kilka kroków znajdował się od przerębli, zwrócił się nagle na lewo i przybył do brzegu na którym staliśmy. Wilki tymczasem skupione w jednę gromadę, nie mogąc powstrzymać się w biegu, pędziły zawsze w prostej linji i w mgnieniu oka wszystkie poszły pod lód.

Ja tymczasem przybiegłszy z Pawłem nad brzeg przerębli, jęliśmy je dobijać kijem i piką. Krótka ta walka była nader ciekawą. Pięć wilków zabiliśmy, a szósty, który wyskoczył, sądziłem że umknie swobodnie, gdy nagle rozległ się wystrzał, a wilk padł na lód jak długi. Odwróciłem się i ujrzałem Bolesia trzymającego kurzący się jeszcze mój karabin, który mu matka podała. W taki to sposób zakończyła się ta przygoda, której bohatérem był Witold.

Ku końcowi trzeciego roku ilość naszych bobrów tak się powiększyła, że uznaliśmy stosownem rozpocząć na nie polowanie. Aby zaś nie niepokoić pozostałych, wykopaliśmy rodzaj zatoki, komunikującej się z jeziorem za pomocą śluzy. Tam to znosiliśmy ulubione od tych zwierząt rośliny, a gdy znaczna ich ilość się nabrała, zamykaliśmy śluzę biorąc tyle bobrów ileśmy ich tylko potrzebowali. Wszystko to robiło się bez najmniejszego hałasu, a pozostałe bobry ani się domyślały jaki los ich towarzyszy spotkał. Pierwsza ta wyprawa, jeśli ją tak nazwać można, przyniosła nam około dwunastu tysięcy franków za futra, a prawie tysiąc dwieście za strój bobrowy. Następnego zaś roku i jedno i drugie wynosić mogło najmniej dwadzieścia pięć tysięcy franków. W ciągu tego czasu wybudowaliśmy sobie wygodniejszy dom, stary zaś zamieniliśmy na suszarnią i skład futer. Zbiory tych ostatnich odtąd co rok wzrastały, tak dalece, że obecnie mamy futer i stroju bobrowego przynajmniej za sto piętnaście tysięcy franków, nie licząc w to bobrów żywych, które w każdej chwili możemy złowić lub zabić.

Takto spełniła się przepowiednia mej żony. Zrobiliśmy majątek w pustyni.

W początkach jednak naszego w tej dolinie pobytu, nie wiele nas cieszyły te bogactwa; bo nie wiedzieliśmy jak i kiedy zdołamy je ztąd wywieść. Koń nasz nie tylko tyle futer, ale i nas wszystkich nie wyciągnąłby z pustyni. Chciałem udać się sam jeden do ucywilizowanego świat, by potem wrócić z końmi i wozami po rodzinę i rzeczy. Ale żona słuchać o tem nie chciała, raz że niebezpiecznie było puszczać się samemu w pustynię, powtóre że cóżbym zrobił w krajach cywilizowanych bez pieniędzy? czyliżby ktokolwiek dał cudzoziemcowi wiarę, że gdzieś pośród pustyni ma niewyczerpane prawie skarby? A wyjść z tej doliny, jakkolwiek rozkosznéj, zawsześmy pragnęli, nie tyle dla nas starych, ile dla dzieci naszych, którym przecież nie podobna zamknąć świat nazawsze. Takie to myśli snuły się w naszym umyśle, gdy na czwarty rok pobytu naszego w tej dolinie, przybiegł raz zadyszany Boleś oznajmiając, ze dwa łosie wpadły w zasadzkę i że już Paweł odwozi je do domu. Nicby w tem nie było nadzwyczajnego, bo niejednokrotnie już łapaliśmy łosie, ale zawsze tylko stare; tym razem zaś udało się nam złapać parę młodych. Te zaś można było przyswoić, przyzwyczaić do wozu, a z czasem, kto wie, możebyśmy przy ich pomocy dobili się świata ucywilizowanego. Wszakże Samojedzi i Lapończycy jeżdżą reniferami!

Jakoż Paweł tak ich przyzwyczaił do wozu i pługa, że dały się powodować jak konie zwyczajne. Poczem udało się nam jeszcze ich więcéj nałapać i przyswoić.

Jednocześnie przytrafiła się nam przygoda, widocznie świadcząca, że Opatrzność nieprzerwanie czuwa nad nami. Pewnego rana nagle zostaliśmy przebudzeni wielkim szumem jaki się dokoła domu naszego rozlegał. Był to niby tentent koni, o czem zresztą przekonało nas i rżenie rumaków, odpowiadających na głos naszego konia zamkniętego.

— Indjanie! zawołaliśmy jednogłośnie, polecając swoję duszę Bogu. Pierwszą naszą czynnością było pochwycić broń, drugą wyjrzeć przez okno.

Były to w samej rzeczy konie, ale bez jeźdzców. Naliczyłem ich tuzin, siwych, czarnych, gniadych

i pstrych. Biegały tam i sam rżąc, wierzgając, skacząc, machając w powietrzu ogonami. Zresztą nie było na nich ani cugli, ani siodła, ani ręki ludzkiej. Poznałem odrazu, że są to *mustangi*, czyli dzikie konie pustyni.

Ułożyliśmy plan ich ujęcia, który na tem się zasadzał, aby zamknąć jak najspiesznięj jedyne przejście wiodące w dolinę i odebrać im przez to wszelką możliwość ucieczki. Ponieważ nie mogliśmy wyjść niepostrzeżeni przezedrzwi, bo właśnie z tej strony domu cały tabun igrał sobie na trawie, musieliśmy tedy z Pawłem jak złodzieje wyłazić przez okno w tylnej części domu, a ztamtąd przemykać się do lasu. Dalszemi szczegółami nie chcę tu panów nudzić, dość żeśmy zagrodzili przejście barjerą i za pomocą znanego w Ameryce przyrządu do łapania koni zwanego lasso, w ciągu trzech dni wyłowiliśmy wszystkie konie.

Na tem kończę opowiadanie swych przygód, których doświadczyliśmy jeszcze niemało. Mógłbym wam np. opowiedzieć, jakim sposobem przyswoiliśmy antylopę i dzikiego barana, jak udało się nam schwytać kilka młodych bawołów i tak dalece przyswoić, że dziś uprawiamy niemi ziemię, mamy z nich mleko i masło; dowiedzielibyście się wreszcie jakim sposobem zahodowaliśmy i przyswoiliśmy te oto obie pantery, z któremi dziś bezkarnie dzieci nasze igrają; ale widzę wasze znużenie i na tem co się powiedziało, urywam opis przygód moich.

Teraz jedna mi tylko do was prośba pozostaje. Pora roku jest spóźniona: Zbłąkaliście się i wiecie jak niebezpiecznie podróżować w pustyni podczas zimy. Zostańcie u nas do wiosny, a wówczas wszyscy razem pojedziemy. Zima nie potrwa długo, a postaram się uczynić ją dla was jeszcze krótszą. Obiecuję wam pyszne łowy, a gdy pora stosowna nadejdzie zrobim powszechną wyprawę na bobry. Co na to powiecie? Macież ochotę zostać?

Naturalnie, że nie namyślając się długo przyjęliśmy tę propozycją. Uwagi pana B. były bardzo słuszne, a zresztą ten rodzaj na pół dzikiego życia posiadał dla nas tak niepokonany urok, że zostaliśmy. Gospodarz ze swojej strony dotrzymał słowa najzupełniej, coraz nowe wymyślając dla nas przyjemności.

Na wiosnę poczęliśmy się wybierać w drogę. Trzy wozy zostały przyrządzone: na dwóch były futra i strój bobrowy, trzecim jechała żona pana B. i obie dziewczynki, bo Helenka za nic nie chciała porzucić swej przybranej rodziny. Przy wozach jechał konno p. Henryk z synami. Wyjeżdzając, wszystkie przyswojone zwierzęta—ptaki wypuściliśmy na swobodę, i raz jeszcze rzuciwszy okiem na tę piękną dolinę, opuściliśmy ją zapewnie nazawsze. W Maju przybyliśmy szczęśliwie do Saint-Louis, gdzie pan. B. bardzo korzystnie przedał swoje futra.

Dalsze losy tej zacnej rodziny nie są nam wiadome

KONIEC.

PRZEMYSŁ ZWIERZĄT
w budowaniu gniazd i mieszkań.

(Ciąg dalszy—patrz Nr. 25-ty).

Ogotona, znany w stepach Mongolji pod nazwą *kamiennego kreta*, bardzo zręcznie kopie nory w piasku i między kamieniami. Każda nora ma dwa lub trzy wyjścia, które łatwo dostrzedz po wyrzucanéj z nich ziemi, schodzą się one niegłęboko w gnieździe usłanem z miękkiéj trawy. Często wydarza się że stara samica miewa po kilka gniazd w jednéj miejscowości i przesiaduje w nich kolejno; w takim wypadku widać na darninie dróżyny wydeptane od jednej do drugiéj nory; schwytać ją wtenczas bardzo trudno.

Poznaliśmy dotąd gniazda kilku gatunków zwierząt powiększej części z rodziny *Szczurowatych* czyli tak zwanych *Gryzących*; mieszczą się one zwykle w norach pojedynczych, niekiedy z sobą połączonych, mniéj lub więcéj głębokich, zawsze jednak dość podobnych do siebie. Z pomiędzy nich jedno tylko gniazdo myszy—żniwiarki odznacza się budową na podobieństwo gniazda ptasiego, tudzież tą szczególnością że je zwierzątko na źdźbłach zboża zawiesza. Teraz zastanówmy się nad gniazdami i mieszkaniami niektórych zwierząt z dzisiejszym przemysłem i sztuką budowanych. Do takich należy gniazdo jednego z najpospolitszych u nas gatunków —kreta. Znajduje się ono zwykle na najwyżéj położonem miejscu osady w któréj te szkodliwe poczęści zwierzątka zamieszkują, na przecięciu kilku głównych przejść, to jest szerokich podziemnych chodników, wielu indywiduom za kommunikacją służących. Zabierając się do urządzenia gniazda, samiec i samica, podwyższają obrane miejsce, następnie robią sklepienie wspierające się na kilku przegródkach, potem udeptują ziemię mięszając do niej rozmaite korzenie i trawy, przez co tak staje się twardą, że od spodu woda żadną miarą nie może przecisnąć do się gniazda. Nad sklepieniem tak urządzonem, robią nasyp nad którym zostawiają przestrzeń próżną a nad nią budują sklepienia powtórne. Ta to próżna przestrzeń stanowi właściwe gniazdo, które wyścielają trawą i liściem: jest ono zabezpieczone od zalewu wody, raz dla tego że się znajduje wyżéj od poziomu przyległej miejscowości, a powtóre że w czasie niewielkiej powodzi, woda zbiera się w próżnych miejscach pod niższem sklepieniem, a od deszczu ochrania wyższe powtórne sklepienie, wyprowadzone nad nasypem. W wierzchniéj części nasypu tworzącego niby pagórek, idzie kanał w kształcie obrączki, który łączy się z główną norą czyli legowiskiem, trzema prostopadłemi przejściami. Główna nora na któréj kret przebywa, ma kształt kuli i leży w znacznéj głębokości. Od wierzchniego obrączkowatego kanału, ciągnie się ukośnie w dół pięć innych kanałów łączących je z niższą galerją ocalającą podstawę nasypu. Z górnej obrączkowatej galerji idzie boczne przejście, łączące się w pewnej odległości od nasypu, z takimże przejściem od niższej galerji i nory i tworzy wielki czyli główny chodnik. Takie urządzenie galerji pozwala kretowi wchodzić prosto do wierzchniego lub dolnego piętra swego mieszkania. Oprócz głównego chodnika, z niższéj galerji wychodzi jeszcze 8 lub 9 wązkich, nieregularnych przejść, służących do przepuszczania dźwięków, aby tym sposobem, mieszkańcy ostrzegani byli o zbliżeniu się zdobyczy, lub o napaści nieprzyjaciela. Jak tylko kret posłyszy odgłos, natychmiast zaczyna ryć ziemię, albo w tym kierunku w jakim posłyszał szelest oznaczający obecność zdobyczy, lub też w stronę przeciwległą, jeżeli odgłos oznacza zbliżenie nieprzyjaciela. Główne chodniki nierównie są szersze niż ciało kreta, bywają starannie wygładzone, czysto utrzymane; leżą w głębokości 15 do 18 cali i służą zwykle za schronienie wielu indywiduom. Przy spotkaniu się w głównych chodnikach, krety omijają jeden drugiego, lecz jeżeli im wydarzy się spotkać w wązkim kanale, gdzie niepodobna się rozminąć, to zaczynają między sobą zajadłą walkę, która się kończy zwykle śmiercią jednego z walczących, poczem zwycięzca zjada zwyciężonego. W zimę nie wpada w letarg, lecz kopie nory w tej warstwie ziemi, w której chowają się owady i robaki, stanowiące główny jego pokarm

Mieszkania *Bobrów* najdawniej zwróciły na siebie uwagę i wiele ich mamy opisów; przecież dla uzupełnienia wiadomości o gniazdach zwierząt ssących, powtórzymy tu pokrótce niektóre ciekawe szczegóły o sposobie zakładania osad przez te przemyślne zwierzęta.—W Europie Bobry bardzo są już rzadkie, skutkiem nieoględnego ich wytępiania i łowów odbywanych, w porze niewłaściwej. Pozostałe jeszcze szczątki żyją samotnie w norach, które kopią nad brzegami rzek, budek zaś czyli mieszkań wcale nie stawiają. Natrafić na nie można w najodludniejszych miejscach nad Bugiem w król. Pols., koło Zegrza, Terespola, tudzież nad rz. Wiśnią koło Radotycz.— W Zachodnich guber. Cesarstwa koło Bracławia i Pińska, nad Prypecią, Teterowem, Zdwyżem; koło Warowicz, Maxynowicz, Semichod. Ale w puszczach Ameryki północnej widzieć można liczne Bobrów osady, i tam jednak lato przepędzają pojedynczo, w norach wykopanych nad brzegami rzek i jezior, w jesieni dopiero zbierają się w stada od 200 do 300 indiwiduów, w celu budowania mieszkań wspólnemi siłami. Wybierają do tego jezioro lub rzekę dość głęboką, aby nigdy do dna zamarżnąć nie mogła, a zawsze przekładają wody bieżące nad stojące, gdyż za pomocą pierwszych mogą spławiać materyał potrzebny do budowli. Aby utrzymać wodę w równej wysokości, naprzód budują krzywą groblę, wypukłość jéj kierując przeciw biegowi wody; groblę tę urządzają z posplatanych gałęzi, a próżnię między niemi znajdujące się, wypełniają iłem i kamieniami, zewnątrz zaś oblepiają gęstą gliną. Taka grobla miewa zwykle 11 do 12 stóp wysokości, z czasem porastają na niej trawy i zarośla, co ją czyni bardzo trwałą. Po ukończeniu grobli, a czasem i bez niej gdzie woda stojąca, Bobry rozdzielają się familiami i przystępują do budowania nowych lub poprawy dawnych mieszkań; te zaś mieszkania czyli budki stawiają nad grobelką lub na brzegu wody; mają one kształt owalny, wewnętrzna ich średnica wynosi 6 do 7 stóp; ścianki równie jak grobla są splecione z gałązek i z obu stron oblepione gliną. Dzielą się na dwa piętra, wierzchnie suche, przeznaczone do mieszkania, i niższe podwodne służące za skład żywności, którą po większej części stanowi kora rozmaitych drzew. Każda budka ma jeden tylko otwór wychodzący pod wodę. Mniemano dawniej że spłaszczony i szeroki ogon Bobra służy mu przy budowaniu mieszkania w miejsce łopatki; rzeczywiście jedna tylko z łap przednich i zębów do tej roboty się używa. Ścięte zębami gałęzie a nawet pnie drzew, wlecze Bóbr w pysku z pomocą nóg przednich; kiedy zaś budują się nad brzegiem wody bieżącej, to ścinają las, wyżej obranego na mieszkanie miejsca, robią rodzaj tratew i spławiają takowe podług potrzeby. Ziemię i glinę używaną przy obmazywaniu mieszkań także kopią łapami albo na brzegu, albo na dnie wody. Wszystkie te roboty odbywają bardzo prędko i tylko w porze nocnej.

Ondatra czyli *Piżmoszczur*, zwierzątko wielkości królika, w Ameryce północnej mieszkające, z obyczajów swych bardzo do Bobra jest podobne i równie jak on z wielką sztuką i przemysłem, mieszkanie dla siebie buduje. W Październiku, rodziny Piżmoszczurów, składające się każda z samicy, samca i dzieci tegoż roku na wiosnę urodzonych, łączą się w znaczne stada i idą szukać dogodnego miejsca do budowania zimowych mieszkań. Wybierają one na ten cel takie wody, którychby poziom utrzymywał się zawsze w jednej mierze lub też zmieniał się nie więcej nad 2 stopy; ondatry bowiem grobli nie budują. Z tej przyczyny osiadają zawsze, albo około błot i wielkich jezior, lub też około szerokich rzek, mających u brzegów dno spadziste i bieg powolny. W takich wodach rośnie zwykle wiele gatunków sitowia, które stanowi główny ich budowlany materjał. Każda rodzina stawia zwykle jednę chatkę w kształcie okrągłego stożka; scianki jéj są dwojakiego rodzaju: jedna wewnętrzna gruba na 4 do 6 cali, jest zrobiona ze źdźbeł sitowia wetkniętych w ziemię, przeplecionych między sobą i oblepionych gliną pomięszaną z gnojem wołów Bizontów. Massę takową Ondatra zagniata z sianem i nalepia przedniemi łapkami. Wierzchnia ścianka nakrywa całą budkę zewnątrz i składa się tylko z sitowia przepleconego i oblepionego gliną, grubość jéj dochodzi 8 cali a jest tak nieprzenikliwa, że nie przepuszcza deszczu i ochrania zwierzątka od wilgoci i zimna. Wielkość budek bywa rozmaita, stosownie do potrzeb mieszkańców; jeżeli służy jednej tylko rodzinie, wtenczas ma wewnątrz do $2\frac{1}{2}$ stóp w średnicy, jeśli zaś dla kilku, nierównie bywa większa. Wewnątrz dzieli się na kilka piętr, tam zaś gdzie woda nie utrzymuje stałego poziomu, piętra bywają tak rozłożone, że przynajmniej jedno z nich występuje po nad najwyższy poziom wody; w czasie wezbrania cała rodzina w nie się przebiera. W takich mieszkaniach Piżmoszczury przepędzają całą zimę, leżąc na półkach rozdzielających piętra.

Większa część *Ptaków* odznacza się podziwiającym przemysłem budowania gniazd. Ptaki jednak drapieżne, wodne, żyjące w wielożeństwie, mniej pod tym względem rozwinięty mają instynkt; wszystkie wszakże zakładają gniazda w takich miejscach, takie nadają im kształty i do budowy ich takich używają materjałów, jakie najstósowniej odpowiedzieć mogą, rodzajowi życia i potrzebom przyszłego ich potomstwa. Ptastwo nocne zwykło się gnieździć w rozpadlinach skał, w drzewach spróchniałych, mieszkaniach opuszczonych i t. p. a czasem w norach podziemnych. Pewien gatunek Sowy (Otus cuncularius) mieszkający w Ameryce południowej, zakłada gniazda w jamach Pancerników (zwierząt ssących nie mających zębów przednich i pokrytych pasami kościstemi ruchomemi). W posiadłościach hiszpańskich w Ameryce południowej, w missyi Guanaguara, jest obszerne podziemie w skalistem wzgórzu Karipe zwanem. Wnętrze jego ma do 80 stóp szerokości a 72, stóp jest wysokie. Wzgórze rozciągające się nad pieczarą obrastają drzewa olbrzymiej wielkości; u wnijścia wiją się w przecudne wieńce, najpiękniejsze gatunki Orchideów, najrzadsze podzwrotnikowej Flory rośliny, świetniejące barwami, krztałtem i wonią kwiatów i liści. Ta piękna i bogata wegetacya, nietylko zdobi skały na zewnątrz, lecz i na 40 stop rozciąga się w głąb' podziemia, dopoki tylko światło dzienne przeniknąć w nie może. Dalej panuje już ciemność zupełna, wśród której dają się słyszeć przeraźliwe krzyki ptastwa, powtarzane echem odbijającém się o dzikie skały podziemia. Tam to gnieżdżą się tak zwane *Guachara* (Steatornis caripensis), ptaki nocne, wielkości kury z szerokim otworem dzióba jak u kozodoja, ciemnego pierza z białemi cętkami. Niezliczone mnóstwo ich się mnoży i miejscowi mieszkańcy wielką z nich ciągną korzyść, tłustość bowiem obficie dostarczają, smaczną jak oliwa płynna i tak czystą że rok nawet trzymana nie psuje się, pod nazwą *manteka*, jest przedmiotem handlu tamtejszych okolic. Ale nie same tylko ptastwo nocne, zakłada gniazda w ziemi; *jaskółki Brzegówki* czyli *grzebiółki* gnieżdżą się także w norach wygrzebanych w wyniosłych brzegach nad wodami; w takichże miejscach robią gniazda i *Żołny*, jedne z najozdobniejszych ptaków krajowych, gniazda te niekiedy bardzo blizko jedne koło drugich umieszczone, tworzą na zewnątrz gęsty szereg dziur okrągłych, każdy otwór, prowadzi walcowatą norą 3 do 6 stóp długą, do obszerniejszej jamki wysłanej mchem i stanowiącej właściwe gniazda. *Pliszki żółte*, *sikory*, *kaczki*, *norowemi* zwane (Anas tadorna); *Alki*, ptaki, wodne w głębokiej przybiegunowej północy mieszkające; pierwsze dwa gatunki niekiedy w opuszczonych norach kretów jaja składają, ostatnie stale pod ziemią się gnieżdżą.

Inne znów ptaki wodne jak *Perkozy* (Podiceps cornutus, P. minor) urządzają z suchych traw dość kosztowne pływające gniazda, które do trzciny przywiązują. *Czerwonaki* czyli *Flamingi*, ptaki błotne o bardzo wysokich nogach, pięknem czerwonem upierzeniu, mieszkające w południowej Europie, tudzież na brzegach Azyi i Afryki; lepią z błota dość wysokie, u spodu szersze, pod wierzchem zaś zwężające się pagórki a wydrążywszy w nich otwory, składają tam jaja. Przy wysiadywaniu, ptak stoi w wodzie obok gniazda, a jaje ogonem tylko przykrywa.

Wszystkie prawie ptastwo drapieżne, jakeśmy wyżej nadmienili, nie odznacza się przemysłem w budowaniu gniazd, zwykle układa je z gałęzi niezgrabnie posplatanych lub bez wszelkiego porządku nagromadzonych na wysokich drzewach, lub wierzchołkach skał. Zaledwo kilka gatunków buduje nieco kunsztowniejsze gniazda. Tak orły karmiące się rybami, robią gniazda z prętów ściśle z sobą przeplecionych, spód gniazda wyściełają liśćmi i mchem, a po wierzchu tego posłania znów nakładają chrust i dopiero na nim niosą jaja. Trudno wytłumaczyć przyczynę tak dziwacznego urządzenia gniazda. Inny gatunek Orłów—Rybołowów, mieszkający w blizkości mórz, kładzie gniazda z gałęzi na 4 lub 5 stóp grubo usłanych; na wierzchołkach suchych lub też bardzo starych drzew niekiedy na 50 stóp wysokich. Nadbrzeżni mieszkańcy mniemają, że drzewa na których te ptaki gnieżdżą się, zwykle usychają z przyczyny szkodliwości wyrzutów ptaka; zdaje się jednak że to raczej przypisać należy wpływowi torfu i porostów morskich, z których się składa gniazdo.



(Gniazdo rybołowców str. 200).

Z pomiędzy krajowych ptaków odznaczają się kunsztownym wyrobem gniazd, następujące gatunki: *Jaskółka oknówka*. Gniazdo jej ma kształt prawie półkulisty, płaską stroną jest przytwierdzone do ściany domu i posiada jeden tylko otwór bardzo wązki, na swojej części wypukłej. Ptaszek buduje je z wilgotnej ziemi, a wewnątrz wyściela pierzem; robotę swoję odbywa bardzo prędko, niekiedy w ciągu jednego dnia. Podobne do opisanego dopiero, tylko zwiększym otworem zewnątrz i mniej równe gniazdo, buduje *Jaskółka Dymówka*. Małe ptaszki śpiewające z rodzaju *Gajówek* (Ficedula) odznaczają się także staranném budowaniem gniazd w kształcie koszyczków, kul i t. p. wijąc je z suchych traw, włókien roślinnych, brzozowej kory, pajęczyny i innych tym podobnych przedmiotów. Niektóre nad wodami mieszkające gatunki, gniazda swe zawieszają na łodygach trzciny, niekiedy tuż po nad wodą. *Pluszcze* (Cinclus) bardzo sztucznie splatają gniazda z trawy i mchu i robią do nich nakrywkę z wierzchu. Gniazda *Wilgi* mają kształt głębokiego, okrągłego pudełka; ptak wije takowe z traw i włosów ściśle z sobą przeplecionych, wewnątrz wyściela wełną i pierzem. Gniazdo *sikory długoogoniastej* (Parus caudatus) należy do liczby najkunsztowniejszych; ptaszek przyczepia je zwykle do drzewa w ten sposób, że nasada jego opiera się o gruby sęk a jedna strona leży bezpośrednio na pniu drzewa; ma ono kształt podłużnego woreczka i powierzchu dwa niewielkie otwory na przestrzał. Póki ptaszek na jajach siedzi, aby łatwiej z długim ogonkiem swoim, bez uszkodzenia gniazda mógł się w niem obracać, obie dziurki są otwarte; lecz jak tylko pisklęta się wylęgną, sikora jeden otwór zarabia. Dziwna przezorność, świadcząca o niepospolitej zmyślności! Ścianki gniazda składają się z zielonego mchu, zewnątrz są oblepione za pomocą pajęczyny, porostami i korą tego drzewa do którego jest przyczepione, tak, że bardzo trudno je dostrzedz. Wewnętrzne posłanie stanowi pierze i włosień.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

— **Chciwość grosza,** najnieszlachetniejsza z namiętności ludzkich, wyradza się na starość w prawdziwą monomanję. W Paryżu, w jednym ciemnym zakątku, mieszkała w największej nędzy staruszka, żyjąc z szczupłych wsparć swoich sąsiadów. Czując z bliżającą się śmierć, prosiła ich usilnie ażeby ją pochowano w czépku który zawsze zwykła nosić, gdyż go ceniła jako ostatni podarunek i pamiątkę po swoim nieboszczyku mężu. Czépek jednak wydał się zbył twardym i ciężkim. Po bliższem zbadaniu znaleziono zaszyte w nim bilety banku francuzkiego na 17,500 franków, które otrzymała w spadku siostra zmarłej nędzarki.

— **Od wścieklizny.** Dziennik *Propagateur de Lille* podaje, że najlepszy i wielekroć już z korzyścią używany środek przeciw ukąszeniu psa wściekłego, zasadza się na tem, żeby ukąszony obmywszy ranę czystą wodą, nie kładł się, lecz przeciwnie chodził zwolna dopóty, dopóki potem się nie obleje. Po czem chory powinien okryć się i położyć w łóżko. Nazajutrz śmiało ręczyć można, że wszelkie dlań niebezpieczeństwo minęło.

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(Przy stole).

Pani domu. Panie Walenty dobrodzieju, niechże pan będzie łaskaw pozwolić jeszcze kilka pierożków.

Pan Walenty. Nie mogę, pani dobrodziejko, bardzo dziękuję... już pięć zjadłem...

Mamin synek (*pięcioletni*). Nie prawda, proszę mamy, zjadł jedenaście... ja liczyłem.

(Na wychodnem z winiarni.)

Pan Franciszek Ksawery. Co to, panie Salezy, masz taką potężną kressę?

Pan Franciszek Salezy. Ta tak, panie Ksawery... przy goleniu...

Pan Franciszek Ksawery. Żeby tak na mnie, to jabym golibrodę za coś podobnego chyba kijem wygrzmocił.

Pan Franciszek Salezy. A ja mu kupiłem butelkę wina.

Pan Franciszek Ksawery. Zkąd-że taka łaskawość?

Pan Franciszek Salezy. Ztąd, że.... sam się golę.

---

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.